

[archiwum]

Izabela Czermakowa: Wspomnienie o Schulzu¹

Brunona Schulza wprowadził kiedyś do nas Jerzy Janisch. Bruno przyjeżdżał do Lwowa rzadko i na krótko, lecz wbrew swojej płochliwej, skrytej naturze od razu jakoś do nas przylgnał. Nigdy nie można go było namówić na dłuższy pobyt; jeden jedyny raz udało się nam zaciągnąć go do teatru, który wówczas, pod dyrekcją Schillera i Horzycy, stał na bardzo wysokim poziomie. Bruno Schulz przez cały wieczór był niespokojny i nerwowy i odzyskał humor dopiero wtedy, gdy wróciliśmy do domu i usiedli w zacisznym pokoju. Bruno nie był łatwy w pożytcu, miało się czasem wrażenie, że od reszty świata oddziela go jakaś niewidzialna, nieprzebyta ściana, którą on sam na próżno usiłuje przebić. Mimo to trudno nazwać go egocentrykiem; tym epitetem zbyt chętnie określa się uwikłanych w bolesne urazy psychiczne artystów. Schulz był człowiekiem głęboko dobrym, wrażliwym, nadwrażliwym na ludzkie cierpienie; wiedzą o tym najlepiej jego uczniowie, którym często ponad swoje możliwości pomagał także materialnie. Ludziom, których lubił, okazywał ogromne zainteresowanie, wypytywał o nawet najbłahsze codzienne sprawy i udzielał wcale praktycznych rad. Tylko sam był wobec życia bezradny.

Bezradny nie był tylko wobec sztuki. Jego sąd o obrazach i książkach był trzeźwy i surowy, lecz obiektywny i sprawiedliwy. Umiał ocenić jakość dzieła sztuki

¹ Z dopisków odręcznych poczynionych w języku ukraińskim na otrzymanym przez redakcję tekście wynika, że pochodzi on z prywatnego archiwum Eustachii Szymczuk (Lwów), a przekazała go tam Maria Teisseyre (Warszawa) w latach pięćdziesiątych XX wieku. Prawdopodobnie jego autorem jest Izabela Czermakowa (1898–1964), znana polska tłumaczka literatury niemieckojęzycznej i angielskiej. Jej nazwisko jako domniemanego autora podano w dopisku u dołu tekstu.

także wtedy, gdy odbiegało najzupełniej od jego własnej poetyki, co – jak wiemy – jest raczej rzadkie u artystów o wyraźnym indywidualnym obliczu. Pamiętam wieczór, gdy milczący zazwyczaj Schulz wygłosił długi monolog o *Zaczarowanej Górze* [właśc. *Czarodziejskiej górze* – przyp. redakcji] Tomasza Manna. Nigdy nie zdarzyło mi się przeczytać równie mądrego eseju o twórczości Manna, lecz gdy namawialiśmy go, by to napisał, machnął niecierpliwie ręką.

Kiedy Jerzy Janisch dostał robotę przy renowacji fresków w starej drohobyckiej katedrze, zaczęły się nasze wyprawy do Drohobycza.

Mąż mój z racji swego zawodu jeździł często do rafinerii Polmin i często zabierał mnie z sobą. Chętnie przyłączała się do nas Marylka Teisseyre, czasem Tadeusz Woyciechowski i Karol Kocimski. Wsiadaliśmy z samochodu pod pięknymi, starymi drzewami na skwerze koło kościoła, potem „kontrolowaliśmy” pracę Janischa. W towarzystwie Schulza włóczyliśmy się godzinami po jego ukochanym mieście. Z nami zawsze był swobodny i rozmowny, wyraźnie cieszył się z naszego przyjazdu. Wieczory spędzaliśmy przeważnie w jego dużym, mrocznym pokoju. Pamiętam cudowny wieczór, kiedy Bruno cichym, miękkim głosem czytał fragmenty swego *Sanatorium pod Klepsydrą*; książka ukazała się znacznie później.

Było to już po wielkim sukcesie *Sklepów cynamonowych*, po bardzo pochlebnych recenzjach w niektórych pismach warszawskich i lwowskich. Ale życia Brunona Schulza sukces ten nie zmienił, w jego rodzinnym mieście nadal było o nim głucho i jak dawniej otaczała go tylko grupka entuzjastycznej młodzieży, przeważnie uczniów miejscowego gimnazjum, gdzie Schulz był nauczycielem rysunków. Koledzy Brunona, nauczyciele, wciąż jeszcze nie mogli uwierzyć, że ten żyjący wśród nich niepokąźny człowieczek jest naprawdę wielkim artystą. W gruncie rzeczy Schulz był w Drohobyczu samotny. A jednak mimo perspektyw, jakie otwierały mu się teraz w Warszawie lub choćby we Lwowie, Bruno nie chciał opuścić swego miasteczka. Sama namawiałam go kiedyś, aby rzucił tę swoją pustelnię, lecz zrozumiałam niewzruszoną decyzję artysty dopiero wówczas, gdy oprowadzał nas po koślawych uliczkach, pełnych kurzu lub błota. Z blaskiem w oczach pokazywał nam orgie chwastów za domkami, ulepionymi z gliny i fantazji. Wtajemniczał nas w „martwe zatoki” zaułków, które kołysały jego wyobraźnię, hodowały jego zadumę. Chodziliśmy jak urzeczeni. Bruno wciągał nas w świat swojej poetyckiej wizji. Odrealniał szarzyznę i ciasnotę małowieloletniego życia płynącego z dala od nurtu współczesnej cywilizacji. Jego malarskie oko dostrzegało grę kolorów i światła, odkrywało piękno – w brzydocie. Pokazywał nam okazy średniowiecznych mistyków-talmudystów zamkniętych hermetycznie w murach nieistniejącego getta.

– Cudowność i zagadkowość anachronizmu – mówił Schulz o swoim miasteczku – rezerwat Czasu.

– Czy wolno Czasowi stanąć? – pytaliśmy.

– Nie wolno – powiedział szorstko. – A na ewolucję brak już czasu, rozumiecie?

W oczach Brunona Schulza błysnęło przerażenie. Ale wtedy nie rozumieliśmy jeszcze. On jeden przeczuwał zbliżającą się zagładę.

Wszystko, co pisał Bruno, stawało się niesamowicie realne na tle zaniedbanych, przeważnie już przedmiejskich uliczek Drohobycza. Bo jednej czy dwóch ulic, przy których stały secesyjne wille naftowych milionerów, Schulz skrzętnie unikał; nie lubił ich pseudoelegancji, tak jak nie lubił ich legendarnych właścicieli przebywających przeważnie za granicą.

Kiedyś w jasnym południowym słońcu krążyliśmy po miasteczku; była wczesna wiosna, początek Wielkiego Tygodnia. W tym roku Wielkanoc przypadała równocześnie ze świętami żydowskimi; we wszystkich domkach i lepiankach odbywało się gruntowne sprzątanie. Całe nędzne urządzenie ciemnych izdek wywędrowało na ulicę. Gdzieś niedaleko tak zwanej Małej Stacji stanęliśmy nagle jak wryci: przed odrapanym domkiem, oparte o spory krzak bzu okryty jasnozieloną mgiełką listków, stało ogromne ciemnozielone łóżko, a spośród pstrokatych pierzyn wyglądała głowa bardzo starego Żyda z długą siwą brodą. Wokół sparalizowanego starca piętrzyły się wprost fantastyczne graty, ślepe lustra w rzeźbionych ramach, spleśniałe, kulawe fotele, jakieś nie wiadomo do czego służące patyki, stosy garnków. Wtem na szczycie łóżka, tuż nad medalionem z amorkami, stanął wielki rudy kogut i trzepocząc skrzydłami, rzucił w wiosenny świat donośne, triumfalne: Kukuryku!

Bruno długo nie mógł oderwać oczu od tego surrealistycznego widoku.

– Szkoda, że nie ma Jurka – szepnął.

■

Kiedyś pojechaliśmy do pobliskiego Truskawca. Był słoneczny, ale już chłodny październik. W opustoszałym parku zdrojowym kwitły sobie a muzom wspinała, jaskrawe dalie. Tego dnia Bruno był szczególnie rozmowny, mówił o swojej agorafobii, o nadmiernym wyczuleniu na dźwięki, o tym, że „żyje tylko w głęb, a nie wszcz, jak inni ludzie”; mówił też o tym, że gdziekolwiek jest, już po kilku dniach tęskni wprost chorobliwie do Drohobycza, „do nieba, które jedynie tutaj jest bliskie i opiekuńcze”.

Weszliśmy na wzgórze, z którego roztaczał się daleki widok na całe zagłębienie naftowe, we wczesnym, jesiennym zmierzchu migotały światelka niezliczonych wież wiertniczych.

– Nie umiem żyć gdzie indziej – powiedział wtedy Bruno. – I tutaj zginę.

Nie powiedział: umrę, pamiętam wyraźnie, że użył słowa: zginę.

■

Rafineria Polmin znajdowała się spory kawał za Drohobyczem. W jej pobliżu mieszkała część robotników oraz liczna grupa zatrudnionych tam inżynierów

i urzędników. Ale udział ich w życiu miasta był niewielki; mieli ładne mieszkania przeważnie z ogródkami, świetnie urządzone kasyno z świetlicą, boiskiem, kortami tenisowymi i pływalnią, do miasta jeździło się głównie po zakupy. Mój mąż miał wśród nich kolegów i przyjaciół; byli to na ogół ludzie mili i gościnni, radzi wszelkim odwiedzinom. Jeden z kolegów męża, znakomity i bardzo ceniony fachowiec, wiedząc, że przyjaźnię się z Brunonem Schulzem, poprosił, abym ich z sobą zapoznała.

– Widzi pani – powiedział – żyjemy w tym mieście od lat i dopiero z warszawskich gazet dowiaduję się, że tu, pod bokiem, mamy tak wybitnego literata. Powinniśmy się przecież znać. Niech go pani do nas przywiezie!

Ba, ale jak zwalczyć nieśmiałość Brunona, jego niechęć do wszelkich nowych znajomości, a zwłaszcza do ludzi z Polminu, uchodzących w miasteczku – nie zawsze słusznie – za ekskluzywną arystokrację. Ale tym razem Schulza nie trzeba było długo namawiać, chętnie zgodził się na tę wizytę. Przyjechaliśmy pod wieczór, po dłuższej włości do miasta; Brunona przyjęto z otwartymi ramionami, inżynier Z. i jego żona prześcigali się w uprzejmości. Ale Schulz – jak zwykle w większym towarzystwie – był małowówny i oglądał się trwożliwie za siebie. Niepokoił go widocznie wiszący za jego plecami pejzaż Fałata. Widziałam, że stara się przemóc, patrzył na mnie jakby z poczuciem winy, toteż mówiłam dużo, próbując stworzyć jakiś pomost między tymi tak diametralnie różnymi od siebie ludźmi. Inżynier Z. opowiadał o swoich zagranicznych studiach i podróżach, sypał dowcipami, robił co mógł, aby pozyskać sympatię gościa. Lecz gdy rozmowa na tematy ogólne nie kleiła się, inżynier zrezygnował i dosiadł swego konika: rafinerię. Zrazu Bruno słuchał uważnie; widziałam, że nie rozumie ani słowa z procesu produkcyjnego, który inżynier Z. przedstawiał ze swadą i zapałem człowieka kochającego swój zawód. Miałam nadzieję, że ten właśnie zapał ujmie Brunona, że wyczuje, iż ten trzeźwy technik mówi o tej „chińszczyźnie” tak, jak artyści mówią o swoich problemach, którymi żyją. Przypomniało mi się wtedy zdanie z jakiejś powieści Balzaka: „Kulturę człowieka poznaje się po jego stosunku do pracy”.

Po chwili spojrzałam na Schulza – i przestałam się ludzić, niewidzialny kłosz wokół niego był nieprzepuszczalny: nie słuchał, drżące szczęki zdradzały, że z trudem tłumi ziewanie, było jasne, że nudzi się śmiertelnie. Małowówność Brunona coraz bardziej mroziła serdeczność gospodarzy, rozmowa gasła. Czułam, że zdrowy, prostolinijny inżynier podejrzewa skrycie Schulza o wyniosłość i arogancję, o dumę ze świeżo osiągniętego rozgłosu. W tej chwili nie mogłam mu przecież wytłumaczyć, że nie ma skromniejszego człowieka nad Brunona, że milczy, bo jest nieśmiały, a w tej chwili przytłoczony zapewne poczuciem własnej niezaradności w obliczu jego tężyzny i żywotności.

Ten wieczór był zdecydowanie nieudany, powinnam to była przewidzieć.

Odwieźliśmy Brunona do domu, był smutny i przygnębiony. Było tak, jak przypuszczałam: ze spotkania z inżynierem Z. wyniósł tylko przekonanie, że sam



Autoportret i studium dłoni, ok. 1936,
Muzeum Literatury w Warszawie

jest istotą niezdolną do życia, że musi napawać wstrętem ludzi normalnych, pracowitych, społecznie użytecznych. Polemika z nim była bezcelowa, przeświadczenie o własnej marności było mu jakoś potrzebne. Może było jednym ze źródeł jego twórczości?

Po kilku dniach odwiedził nas inżynier Z.

– Kupiłem te *Sklepy cynamonowe* pani przyjaciela Schulza – powiedział z lekkim sarkazmem. – Ale słowo daję, nic z tego nie rozumiem. Po co pisać takie rzeczy, dla kogo? Nie pojmuję, dlaczego tak się tym w Warszawie zachwycają, obawiam się, że to tylko snobizm.

Dotychczas nikt nie zgłębił istoty tego wiecznego nieporozumienia...